

Dolina Biebrzy

2008



Wstęp

Biebrza ma w sobie coś z mistyki. Ta rzeka i otaczające ją bezkresne bagna mają w sobie coś czego nie da się opisać, namalować czy ująć aparatem fotograficznym bowiem dotykają w jakiś tajemniczy sposób naszego wnętrza, naszej pierwotności. Nie ma tu zapierających dech w piersiach krajobrazów jak w górach ale ta dzika przyroda i nieskalana natura otaczająca tę rzekę mają w sobie coś co potwornie zniewała i zachwyca. Doświadczylem tego i ja podążając samotnie szlakami Biebrzańskiego Parku Narodowego...

Prolog, czyli od Tykocina do Strękowej Góry

To była zupełnie inna wyprawa od poprzednich. Może dlatego, że pojechałem na nią zupełnie sam, a może dlatego, że przeprawiając się przez bagna i pieszne szlaki musiałem się także dużo nachodzić gdyż w wielu pięknych miejscach Biebrzańskiego Parku Narodowego, do których trafiałem jazda rowerem z ważącym prawie 20 kg ekwipunkiem była niemożliwa. Teraz już po

wyprawie myślę, że jej wyjątkowość była także mocno związana z miejscem w którym przyszło mi podróżować i wręcz doskonałą naturą, która otacza Biebrzę. Zupełnie dziewiczą i przez to dziką, niedostępną. Czasami gdy zbaczałem z głównych szlaków i wchodziłem w samo serce bagiennych przestrzeni miałem wrażenie, że jestem tutaj intruzem, że coś w tej pięknej harmonii dzikiej przyrody swoją obecnością naruszam. Wybranie się w takie miejsce samemu to także inny, trochę pełniejszy sposób podróżowania. To także w czasie tej wyprawy odkryłem i to również sprawiło, że była ona zupełnie wyjątkowa. Łatwo bowiem jest podróżować samemu wśród ludzi, jeszcze prościej jest podróżować z kimś. Trudno natomiast gdy człowiek jest zdany wyłącznie na siebie. Ale tylko wtedy - i jest to warunek konieczny - możemy chociaż trochę dotknąć swojego wnętrza i przekonać się jacy naprawdę jesteśmy...

Do Tykocina dojeżdżam moją starą corsą. Od razu zachwyca mnie to miasteczko, które wybrałem zupełnie przypadkowo na początek mojej biebrzańskiej przygody, a o którym - wstyd się przyznać - zupełnie wcześniej nie słyszałem. Ale pięknem i bogatą historią dorównuje Kazimierzowi Dolnemu, z tą przewagą, że w Tykocinie nie ma prawie wogóle turystów. Poza tym panuje tutaj ten specyficzny senny, kresowy nastrój, który zawsze podbija moje serce. Miasteczko to jest jakby przeniesione z dawnych czasów i rzucone gdzieś przypadkowo, z daleka od głównych dróg i szlaków na sam skraj biebrzańskiej krainy. Piękny barokowy rynek w kształcie trapezu, w rynku zespół kościelny pw. Św. Trójcy z XVIII wieku oraz domy pochodzące także z tego okresu w których wciąż mieszkają ludzie. W zachodniej części Tykocina synagoga oraz Dom Talmudyczny zwany przez mieszkającą tutaj przed Holocaustem, a wymordowaną w okresie II wojny światowej ludność żydowską Beit Hamirdasz. W południowej części miasteczka zespół klasztorny Bernardynów z XVIII wieku... To kilka z najważniejszych zabytków Tykocina. Ale nie one poruszają mnie najbardziej. Najbardziej urzeka mnie atmosfera tego cichego, sennego miasteczka. Jeżdżę więc po brukowanych ulicówkach i patrzę na ludzi siedzących przed drewnianymi domami, którzy przerywają na chwilę swoje ciche rozmowy aby popatrzeć na „obcego”, na dzieci bawiące się na ulicy, na młodą dziewczynę wracającą rowerem ze sklepu i wygląda to tak, jakby czas się tu zatrzymał. Wstępuję także na placiki ziemniaczane do „Alumnatu”, takiej restauracji-kawiarni prowadzonej przez księży katolickich. Nie byłoby pewnie w tym nic dziwnego gdyby nie fakt, że do placzków kupuję sobie Pilsnera, a widząc bar obficie zaopatrzonej w mocniejsze trunki myślę o tym, że u mnie w mieście takie coś by nigdy nie przeszło. Dodam jeszcze, że „Alumnat” znajduje się w obrębie zabytkowego zespołu kościelnego tuż przy bazylice parafialnej... Zostawiam samochód na placu klasztornym Bernardynów wcześniej dogadując się o to z miłym zakonikiem, składam rower, pakuję bagaże i w drogę... Mijając most na Narwi i żegnając to urocze miasteczko wiem, że most ten jest także mostem do owej bagiennej, biebrzańskiej krainy, celu mojej tegorocznej wyprawy.

Droga z Tykocina do Strękowej Góry, gdzie dzisiaj planuję przenocować jest częścią świetnej rowerowej trasy nie przez przypadek nazwanej Podlaski Szlak Bociani bowiem ilość bocianów jest tutaj największa w naszym kraju. Ale to co przyciąga bociany przyciąga też lubiących jeździć rowerami, a jest to oprócz pięknej przyrody prawie zupełny brak samochodów. Rzeczywiście w miejscowości Zajki podziwiając z góry dolinę Narwi widzę grupę rowerzystów rozbitych na dziko u jej brzegu. Nawet mam przez chwilę chęć zjechać na dół i dołączyć do nich aby spędzić w wesołym towarzystwie tę noc, ale tak sobie myślę, że jak po 15 km spotykam

pierwszych rowerzystów to na brak ich towarzystwa w czasie tej wyprawy nie powinienem narzekać. Jak się później okaże jest to błędna myśl. Tych kilku rowerzystów w Zajkach przy Narwi było jedynymi jakich udało mi się spotkać w czasie siedmiu dni tej wyprawy.

Słońce zachodzi coraz niżej tworząc na okolicznych łąkach i polach piękną grę światła i kolorów. I gdzieś wśród tych pól, w tej scenerii zachodzącego słońca na pustej drodze przede mną pojawia się jeździec na koniu. Facet jedzie bez siodła, oklepem, próbuje okiełznać zdenerwowane zwierzę. Podjeżdżam bliżej, mijam go i chwilę później jeździec gdzieś znika wśród kolorowych, pokrytych dojrzewającym zbożem pól. Wszystko to trwa bardzo krótko, ale ładnie to wygląda, baśniowo nawet rzekłbym.

Do Strękowej Góry dojeżdżam tuż przed zmrokiem. Zatrzymuję się przy moście we wsi aby popatrzeć na dolinę Narwi. I tak patrzę na te rozległe nadnarwiańskie przestrzenie, na wijącą się w dole rzekę, na kolorowe niebo, wokół cisza... I myślę sobie, że jak już teraz, po przejechaniu zaledwie 20 km jest tak ładnie, to co mnie spotka dalej, kiedy będę podróżował przez kolejne dni w górę Biebrzy... Doskonałą ciszę przerywa warkot skutera. Jego kierowca najpewniej ciekawy turysty podjeżdża do mnie i po chwili rozmowy już wiem gdzie spędzę dzisiejszą noc. Korzystając z jego dobrej rady jadę na jaz, taki rodzaj tamy zwany Bramą na Bagna, przechodzę nią na drugą stronę rzeki i przy brzegu Narwi, zupełnie na dziko rozbijam namiot. Fajne miejsce, w sam raz na pierwszy nocleg biebrzańskiej przygody. Rozbijam się trochę z boku, aby rano nie przeniosły mojego namiotu wraz ze mną idące na wypas na nadnarwiańskie łąki krowy...

Deszczowy dzień, czyli doliną Narwi na Górę Strękową

W nocy budzę się i słyszę, że coś skacze po tropiku mojego namiotu. Pewnie to jakieś ptaki... Jest tu ich całe mnóstwo bo te tereny to prawdziwy raj dla nich. Przyfrunęły zapewne by zbadać z bliska kto mógł przybyć na ich terytorium, na te dzikie, nadnarwiańskie łąki... Ptaszki usadowiły się wygodnie na jego maszcie, ale zachowują się ciszej, zasypiam więc znowu... Gdy wstaję przed 9 deszcz, który zaczął padać nad ranem już ustał, ale kolor nieba nie wróży niczego dobrego. Mam rację.

Na początek wyprawy wybieram szlak przez południową część Bagna Ławki ze Strękowej Góry przez Kleszcze i Giełczyn do Laskowca. Dojeżdżam zaledwie 2 km do Kleszcz, gdzie łapie mnie potężna ulewa. Moknę cały, a wraz ze mną część bagażu. Pomimo tego, że jestem cały mokry i jest mi zimno nie opuszcza mnie dobry nastrój.

Kolejną godzinę spędzam na zadaszonym przystanku autobusowym, ale deszcz nie ustaje. I nic nie wskazuje na to, że w najbliższym czasie zamierza... Jadę więc 2 km do miejscowości Laskowiec gdzie znajduję pierwszą lepszą kwaterę, w tym przypadku jest to gospodarstwo agroturystyczne, aby wysuszyć siebie i bagaż oraz poczekać na poprawę pogody. Z gospodarzami dogaduję się tak, że jak tylko przestanie padać zwijam manatki, płacę połowę noclegu za suszenie i ruszam dalej. Na zewnątrz cały czas leje, teraz jakby mocniej, próbuję więc po ciepłej kąpieli się zdrzemnąć. Ledwie przykładam głowę do poduszki gdy słyszę głośne, powtarzające się trąbienie samochodu jadącego przez brukowaną ulicówkę Laskowca.

„Proszę pana sklep przyjechał!” - rzuciła szybko wybiegając z torbą na zakupy moja gospodyni. Na tych terenach sklepy oddalone są od siebie nieraz o dziesiątki kilometrów więc ludzie zaopatrują się w takich właśnie jak ten, który teraz przyjechał „jeżdżących”, obwoźnych sklepach, zrobionych zwykle na pace dostawczego samochodu. Taki „sklep” dwa-trzy razy w tygodniu robi określoną trasę, starając się być w danej wsi o tej samej, ustalonej godzinie, o której jej mieszkańcy dokładnie wiedzą. W piątki między 13 a 14 sklep przyjeżdża właśnie do Laskowca. Korzystając z okazji - nie wiadomo przecież kiedy trafi mi się taka następna - robię i ja zakupy. Deszcz pada do 17-ej, postanawiam więc tutaj zanoć. Nie przepadam za kwaterami agroturystycznymi, ale trudno...

Nareszcie mogę wsiąść na rower! Postanawiam więc zrobić jeszcze dzisiaj tą samą trasę, którą przerwał mi rano deszcz, czyli szlakiem przez południową część Bagna Ławki. Zaczynam od obejrzenia w Laskowcu nieczynnego już drewnianego kościoła z 1928 r. 10 km dalej dojeżdżam do Giełczyna, wsi położonej na grądzie u zbiegu Narwi i Biebrzy, leżącej niemalże w widłach tych rzek. Jest to też najdalej wysunięta na południe wioska w Biebrzańskim Parku Narodowym. Tam przy pomocy miejscowych odnajduję otoczony wysokimi drzewami drewniany, zabytkowy kościół z 1777 roku. Poza Giełczynem i Kleszczami, malowniczymi wioskami leżącymi na trasie szlaku jest on w sumie mało atrakcyjny widokowo, biegnie bowiem w większości przez łąki, typowej bagienności jest tutaj niewiele.

Deszcz nie pada, słońce jest jeszcze wysoko, noclegu już dzisiaj szukać nie muszę ruszam więc na kolejny szlak. Tym razem jest to szlak pieszy Meandrami Narwi ze Strękowej Góry do Góry Strękowej, której nazwa odnosi się zarówno do sporego wzniesienia skąd roztacza się bajeczny widok na dolinę Narwi, jak i do leżącej u jego zbocza, liczącej zaledwie kilka domów wioski. Idąc tym szlakiem (o jeździe rowerem z uwagi na błoto nie ma nawet mowy), przez całą jego 5 km długość mogę podziwiać śliczny krajobraz doliny Narwi, mając po prawej majestatycznie wijącą się w dole rzekę i otaczające ją łąki i mokradła. Słońce jest coraz niżej i ono jeszcze bardziej dodaje niesamowitych kolorów tym widokom. Dolina Narwi jest prawdziwą mekką dla ornitologów. Można tu spotkać rzadkie gatunki ptaków wodno-błotnych takich jak rycyki, bataliony czy żurawie. Oprócz ptaków jest to ulubione miejsce bobrów. Dosłownie co kilkadziesiąt metrów natrafiam na ślady ich zamieszkania. Pościnane przez nich drzewa, niektóre dopiero w połowie... Sielankowość widoków przerywa charakterystyczny syk dochodzący z przedniego koła mojego roweru. Na 3 kilometrze mojej wędrówki błotnistym po dzisiejszym deszczu nadnarwiańskim szlakiem najeżdżam rowerem na ostry kolec. Powietrze uchodzi z dętki błyskawicznie. Nie mam przy sobie zapasu ani narzędzi, wszystko zostało w Laskowcu na noclegu. Nie cofam się jednak i idę dalej aby zdobyć Górę Strękową i zobaczyć z jej wysokości dolinę Narwi. Czekam tylko 7 kilometrowy powrót na piechotę do Laskowca. Trudno się mówi...

Góra Strękowa leży na wysokim zboczu, wejście na nią jest dość strome, ale krajobraz, który stamtąd można zobaczyć wynagradza wysiłek. Rzeczywiście można wpaść w zachwyt bo widok z góry na dolinę Narwi z jej rozlewiskami jest naprawdę bajkowy. Szczególnie teraz kiedy zachodzi już słońce... Na szczycie wzgórza znajduje się polana a na niej ruiny schronu, z którego we wrześniu 1939 r. oddział kapitana Ragnisa liczący 750 żołnierzy stawił przez dwa dni zaciekle opór 19 korpusowi pancernemu wojsk niemieckich liczącemu ok. 50 tysięcy żołnierzy

ze zdecydowaną przewagą uzbrojenia. Po walecznej obronie zdziesiątkowany oddział kapitana Ragnisa zmuszony był skapitulować. 70 polskich żołnierzy dostało się do niemieckiej niewoli, sam kapitan w schronie rozrywa się granatem. Góra Strękowa została zdobyta, a piękny, nadnarwiański krajobraz który z niej zobaczyłem dodaje mi pozytywnego nastawienia przed 7 kilometrowym powrotem na piechotę do Laskowca. Wracam przy zapadającym zmierzchu ruchliwą szosą Łomża-Białystok. Ostatni dwu kilometrowy odcinek drogi pokonuję w oparach mgły unoszącej się nad łąkami Narwi w zupełnych już ciemnościach.

Do Laskowca dochodzę po 22-giej. Jestem taki zmęczony, że wymianę przedziurawionej dętki zostawiam na jutro. Dzisiejszy dzień był małą zapowiedzią tego co czeka mnie w kolejnych dniach. Czuję zmęczenie, a to dopiero początek biebrzańskiej przygody... Ale jadąc tutaj przygotowywałem się na to, że lekko nie będzie...

Przeprawa przez bagna, czyli jak trafiłem do Króla Biebrzy

Dzień rozpoczynam od załatwienia przedziurawionej wczoraj dętki. Po jej naprawie wyjeżdżam z Laskowca i ruszam ku największej przygodzie tegorocznej wyprawy, kilkugodzinnej przeprawie przez bagno i spotkaniu z Królem Biebrzy. Ale po kolei...

Za Laskowcem przekraczam oficjalną granicę Biebrzańskiego Parku Narodowego i wjeżdżam na tzw. Carską Drogę zwaną też Aleją Łosi, szosę biegnącą pomiędzy bagnami i lasami, czasem wyglądającą jak tunel, pełną ciszy i spokoju bowiem ruch na niej jest niewielki. Do samego Goniądza przez 40 km nie ma przy drodze właściwie żadnej wsi, szosa biegnie przez tereny niezamieszkane, większe skupiska ludzkie znajdują się od niej w promieniu 10-20 km. Rzeczywiście po drodze spotykam zaledwie kilka chałup, w większości opuszczonych i niezamieszkanymi... Carska Droga została usypana wśród bagien na rozkaz carski, łącząc dwie ważne strategicznie fortece broniące zachodnich granic imperium rosyjskiego - Twierdzę Osowiec i Forty w Łomży. Droga ta, sztucznie dzieląca bagiennne tereny na dwie części jest częstym miejscem przechodzenia dzikiej zwierzyny, wśród której przoduje król biebrzańskich zwierząt - łoś. Stąd właśnie jej druga nazwa Aleja Łosi.

Dojeżdżam Carską drogą do drewnianej kładki, która prowadzi mnie w głąb uroczyiska Długa Łuka będącego częścią olbrzymich przestrzeni Bagna Ławki. Kładka ma zaledwie 300 metrów długości, ale z niej dokładnie widać bezkres bagiennych przestrzeni. Bagno Ławki to największy otwarty teren bagienny w Biebrzańskim Parku Narodowym. Z uwagi na występowanie tutaj rzadkich gatunków ptaków błotnych i drapieżnych oraz dzikich zwierząt leśnych jest to jeden z najciekawszych przyrodniczo obszarów w Polsce. Widokowo również urzeka.

Krajobraz ten w swojej rozległości kojarzy mi się z sawanną albo stepami. Jeszcze pełniej ten ogrom równin porośniętych turzycą i trzciną z charakterystycznymi sylwetkami brzoź widać 2 km dalej z wysokiej wieży widokowej usytuowanej przy Carskiej Drodze. Podziwiam te zielone przestrzenie wraz z parą turystów z Włoch. Są oni pierwszymi ludźmi, których spotykam od wyjazdu z Laskowca. Kiedy tak razem patrzymy na te rozległe bagna jeszcze nie wiem, że za parę godzin będę samotnie przeprawiał się przez sam ich środek...

Za kolejne kilka kilometrów skręcam z Carskiej Drogi w Groblę Honczarowską, czterokilometrową ścieżkę, która dochodzi na sam środek Bagna Ławki. Ścieżka sama w sobie nie jest zbyt atrakcyjna. Widok na bagna zasłaniają rosnące wysoko krzaki oraz zarośla. Prowadzi ona jednak do wieży widokowej, skąd świetnie widać sam środek bagiennych terenów. Przy wieży jest także jedna z największych w Europie ostoja ptaków wędrownych. Tutaj czuję się jakbym był w samym środku stepów. Nie ma zupełnie ludzi, a do zamieszkanym domostw jest stąd prawie 20 km.

Jadąc rowerem warto czasem posłuchać własnej intuicji i zjechać z tych twardych, ubitych rowerowych szlaków i wjechać na wąskie, nieprzejezdne ścieżki przeznaczone tylko dla pieszych. Te wąskie ścieżki biegną bowiem zazwyczaj przez tereny piękniejsze krajobrazowo. Będę robił to wielokrotnie w czasie tej wyprawy, męcząc się przy tym podwójnie ciągnąc rower z bagażami, ale za to obejrzę taką przyrodę, której wręcz fizyczne doświadczenie wynagrodzi poniesiony trud. Bowiem są takie miejsca, w których człowiek staje się jej częścią. Tak właśnie było na Bagnie Podlaskim w drodze z Gugien do Barwika.

Z Grobli Honczarowskiej wracam na Carską Szosę i dojeżdżam do niezamieszkanego wsi Gugny, gdzie moja podróżnicza intuicja podpowiada mi abym zjechał z drogi na pieszy szlak w kształcie łuku, który prowadzi przez Bagno Podlaskie do następnej niezamieszkanego wsi Barwik. Trochę już w moim 33-letnim życiu przeżyłem, ale tej kilkugodzinnej 10 kilometrowej wędrówki przez błota po kostki, przez trzcinowiska w zaroślach, wśród niezliczonego rodzaju owadów i finału tej przeprawy w postaci olbrzymiej burzy, która łapie mnie w samym środku bagien nigdy nie zapomnę. To jest prawdziwa przygoda, kwintesencja podróżowania. Droga przez bagna z Gugien do Barwika to trasa dla mocno zaprawionych pieszych turystów i to w dodatku z odpowiednim na bagna obuwiem. A ja nie dość, że mam na nogach zwykłe adidasy to jeszcze ciągnę rower z ważącym prawie 20 kg bagażem. Jak się później dowiaduję od tutejszych, nie słyszeli oni aby ktoś kiedykolwiek przebył ten szlak z rowerem. Zaczyna się on od wysokiej wieży widokowej, z której rozciąga się panorama otwartych, bagiennych turzycowisk. Dalsza droga prowadzi już tylko przez wysokie zarośla, trzciny, mokradła i błoto zapuszczając się w dolinę Bagna Podlaskiego prawie do połowy. Przeprowadzam się zupełnie sam bowiem rzadko kto się tu wypuszcza. Przez całą dziesięciokilometrową długość szlaku jestem w samym sercu biebzańskich bagien, z bliska mogę więc obserwować niczym nie zakłóconą harmonię przyrody jaka tu panuje. Czuję się trochę jak intruz, który swoją obecnością coś w tej harmonii narusza. Wszechobecna jest cisza, przerywana tylko dźwiękami niezliczonej ilości ptaków i owadów, które nie są znowu tak natrętne jak się tego spodziewałem. Wędrówka chociaż ciężka - bo przedzieram się przez wysoko rosnące trzciny, a stopy zapadają się na podmokłym gruncie to dostarcza mi na każdym kroku niezapomnianych wrażeń. Jako młody chłopiec zawsze marzyłem o przeprawie przez amazońską dżunglę, tutaj mam tego mały przedsmak...

Przedzieram się przez to zarośnięte bagno już ponad 2 godziny, pokonałem już połowę szlaku, gdy niebo nade mną robi się czarne. Nie mam żadnych szans ucieczki ani schronienia przed nadciągającą burzą. Do najbliższych domostw jest stąd ponad 10 km, wokół są tylko bagna. A ja sam na ich środku... Co mam zrobić? Idę, wręcz biegnę jakby to coś mogło mi pomóc... Robi się już zupełnie ciemno, gdy nagle zrywa się potężna wichura. Gdzieś w oddali widzę samotnie rosnące drzewo. Wiem, że nie jest to rozsądne z mojej strony, ale dobiegam do tego drzewa,

aby móc pod czymkolwiek schronić się przed nadciągającą ulewą. Gdy niebo rozświecła już błyskawice, wspierane grzmotami i szalejącym wiatrem, stwierdzam, że to podeschtę drzewo będzie marnym schronieniem i zaczynam w pośpiechu rozbijać namiot w nadziei, że może jeszcze zdążę się schować... Nie zdążyłem. Rozkładałam tylko jego wewnętrzną część gdy z nieba spada ulewa. Próbuje jeszcze osłonić siebie i część bagażu tropikiem od namiotu, ale zwiwa go ze mnie szalejąca wichura. Co robić? Odwracam się tyłem do wiatru i czekam, zdany tylko na kaprysy przyrody. Trzęsę się z zimna bo jestem cały mokry ale co mogę więcej na tych bagnach zrobić? Przeżyłem w życiu niejedną już burzę, ale dopiero teraz, tutaj, doświadczam naprawdę czym jest ten żywioł, wszystko widzę jakby wyraźniej. Błyskawice, wichurę, deszcz. Jest to dla mnie przeżycie niemalże mistyczne. Na tych otwartych przestrzeniach, wśród tej dzikiej przyrody wszystko bowiem jest lepiej widoczne, bo ukazuje nam się w swej nagości, takie jakie jest naprawdę. Dotyczy to zarówno samej przyrody i praw jakimi się rządzi, ale także nas samych.

Po 15 minutach burza ustaje. Deszcz co prawda pada dalej, ale mniejszy. A zresztą co za różnica, jestem już i tak cały mokry więc jest mi wszystko jedno, niech sobie pada jak chce... Nagle orientuję się, że będąc zajęty nadciągającą burzą zgubiłem szlak. Wylewam i wyciskam wodę z czego się tylko da i ruszam z powrotem szukać drogi do Barwika, gdy jak spod ziemi wyłania się za mną, na tej wąskiej, bagiennej ścieżce czterech rosnących mężczyzn. Jest to o tyle dziwne, że przez cały dzień wędrówki (a jest już godzina 16-ta) spotkałem dotąd tylko dwie osoby (na wieży widokowej przy Carskiej Szosie kilka godzin temu) i nie spodziewałem się, że mogę jeszcze kogokolwiek spotkać i to w takim miejscu, w chwilę po takiej burzy! Zbliżają się szybkim krokiem, pewnie to jacyś zabłąkani jak ja turyści... Kiedy dochodzą do mnie okazuje się, że są to tutejsi wracający przez te bagna z położonych gdzieś między nimi łąk. Najemni rolnicy koszący kosą cały dzień te łąki, bowiem tutaj żadna maszyna nie wjedzie. Deszcz oznaczał dla nich koniec pracy na dzisiaj i tak się właśnie spotkaliśmy... Okazuje się, że idą w stronę Barwika, idę więc z nimi... Szlak po burzy zamienił się w jedno wielkie błoto. Do samego Barwika przez prawie 4 km idę w tym mule i wodzie po kostki mając na nogach zwykłe adidasy. Po pewnym czasie tak się uodparniam, że nie zwracam już uwagi na większe kalenie, idę więc tak jak moi towarzysze przez ich środek, nie starając się nawet ich omijać. Zresztą nie ma jak... Nie zatrzymujemy się nawet na chwilę. Nieco ponad godzinę trwa ta nasza 4 km wędrówka przez bagna, gdy droga powoli robi się coraz twardsza, a w oddali widać już las. To niezamieszkała wieś Barwik, cel mojej kilkugodzinnej przeprawy przez ten bagienny szlak.

Była to prawdziwa przygoda. Jej to właśnie po nadbiebrzańskich bagnach i mokradłach, obierając je sobie za cel mojej tegorocznej wyprawy najbardziej oczekiwałem. Dzisiaj jej doświadczyłem... Na końcu bagien, już w lesie czeka samochód, który zabiera do domów moich towarzyszy, a ja w kilka minut później dojeżdżam (nareszcie mogę wsiąść na rower!) do ładnej polany z wiatą, czyli pola namiotowego w leśniczówce Barwik. Nie ma tu nikogo. Nie uśmiecha mi się nocować tutaj samemu, w dodatku w przemoczonej do suchej nitki namiocie, jadę więc dalej. Nie liczę na to, że znajdę lepsze miejsce na nocleg od tego, jedynie trzymam się zabranej na wyprawę małej kartki z wypisanymi miejscami gdzie mogę znaleźć nocleg jakby co, z której to wynika, że w niedalekiej wsi Budy żyje podobno jakiś facet, który coś tam wynajmuje. I też ma pole namiotowe, chyba... Tyle wiedziałem wtedy o Krzyśku - Królu Biebrzy. Jadę więc do tych Bud.

Najpierw widzę stary, opuszczony, kryty jeszcze strzechą dom. Schowany między wysokimi krzakami, na wpół zruinowany. To jest początek wsi Budy. Za nim kolejno następne dwa. Pierwszy solidny, drewniany, drugi kryty strzechą, ale zadbane, z wyglądu jakby przeniesiony tutaj z jakiegoś skansenu, z pięknymi, drewnianymi okiennicami. Nie ma w ich pobliżu żadnych ludzi. Mijam ładną polanę, potem zakręć i docieram do dużej zagrody, gdzie jestem przywitany przez - tak na oko - jakieś piętnaście wesołych i przyjaźnie nastawionych kundelków. Stoi tutaj dwa domy. Kiedy zbliżam się do pierwszego z nich, cały czas eskortowany przez stado psów wiem już, że trafiłem w miejsce szczególne. Dom i obejście wokół niego bardziej przypominają skansen niż wiejską rezydencję. Otaczają go tuziny glinianych garnków, rzeźbione anioły, stare, wiejskie sprzęty. Dom jest zamknięty na kłódkę. Kiedy zbliżam się do drugiego domu, który stoi nieopodal wychodzi z niego wysoki mężczyzna. Robi mi gorącej herbaty i po chwili rozmowy okazuje się, że gości on tutaj u swojego przyjaciela, Krzysztofa, zwanego przez wszystkich Królem Biebrzy i posiadłości te należą właśnie do niego. Pół godziny później swoim starym polonezem przybywa sam Król. Jest to mężczyzna w wieku po pięćdziesiątce o siwych bujnych włosach. Od razu ujmuje mnie swoją serdecznością i otwartością. A także swoistą "innością". W bardzo pozytywnym tego słowa znaczeniu...

Krzysiek jest jedynym mieszkańcem wsi Budy. Mieszka tutaj samotnie od 16 lat w otoczeniu zwierząt, lasów i bagien. W 1992 roku sprzedał swój antykwariat w Warszawie, kupił „Suchą Barć”, zagrodę w Budach i przeprowadził się nad Biebrzę żegnając się raz na zawsze z cywilizacją. W tym czasie nie było w Budach nawet prądu... Od tamtej pory rytm Jego życia wyznacza przyroda. Widać to bardzo w Jego zachowaniu, swojego rodzaju „niezależności”. Przy tysiącach ludzi odwiedzających Go rocznie zachowanie takiego stylu życia przy całej okazywanej im gościnności i serdeczności to po prostu wielka klasa.

Krzysiek lokuje mnie na poddaszu jednego z pięciu domów w Budach, krytego strzechą, wyposażonego bardzo prosto tylko w niezbędne rzeczy. Kiedy pytam ile ten nocleg będzie kosztował odpowiada, żebym się nie wygłupiał i wskazuje na zieloną konewkę wiszącą na domu: „Rzuć tam z 5 złotych jak możesz”...

Moim sąsiadem jest Dionizy z Białegostoku, ceniony twórca sztuki ludowej w Polsce, tworzący anioły, sowy, Matki Boskie, bajkowe ptaki dziwaki i inne rzeźby, którym nadał przez lata swój własny, niepowtarzalny styl. Jest laureatem licznych konkursów ogólnopolskich, a jego rzeźby znajdują się w muzeach i zbiorach kolekcjonerskich na całym świecie. Dionizy zna Krzyśka od wielu lat. Odwiedza Go szukając w Budach natchnienia i spokoju do pracy. Jego rzeźby zdobią całe obejście i dom Krzyśka, wtapiając się idealnie w to miejsce i w otaczającą je przyrodę.

Dionizy proponuje na dzisiejszy wieczór wspólne ognisko. Cieszę się z tej propozycji bo potrzebuję z kimś zwyczajnie pogadać. Przez cały dzisiejszy dzień spotkałem w sumie tylko 8(!) osób i były momenty kiedy gadałem sam do siebie. Kiedy ognisko się już pali Dionizy mówi, że muszę jeszcze dzisiaj zobaczyć dom Krzyśka. Po tym co widziałem na zewnątrz myślałem, że w środku mnie nic nie zdziwi. Zdziwiło. Nie widziałem jeszcze takiego miejsca. Połowę domu zajmują rzeźby Dionizego, a drugą połowę wszystko resztę: gliniane garnki i dzbanki stoją na starym, kaflowym piecu, kosze z wikliny, przedwojenny gramofon, stosy starych książek, obrazy, lampy naftowe, zegary z kukułką, drewniane sprzęty kuchenne z początku XX wieku... Wszystko jakby przewiezione tutaj z jakiegoś osobliwego skansenu i postawione tam gdzie jeszcze

znalazło się wolne miejsce... Pasja zbieracza i antykwariusza nie opuściła Krzyśka. Idziemy do drugiego domu. Tam podobnie, ale wszystko jakby bardziej ułożone. Większy pokój, w którym stoi olbrzymi drewniany stół, na nim gliniane dzbanki i zabytkowa zastawa, rolę krzesel pełnią okorowane, drewniane pieńki. W drugim pokoju stary, zakurzony fortepian, drewniany wózek dziecinny, dwa koniki na biegunach i majestatyczne rzeźby Dionizego, dosłownie wszędzie. Małe, średnie, duże. Smutne, wesołe, zadumane. Wracamy na ognisko. Dionizy przynosi po tyskim, a jak wypijamy znajduje jeszcze balsam koryciński, znakomitej roboty bimberek. Pomimo sporej różnicy wieku mamy z Dionizym podobne spojrzenie na świat i chyba dlatego tak dobrze się rozumiemy. Nasza rozmowa przeciąga się do północy, a że rano zaplanowaliśmy pojechać z Krzyśkiem na targ staroci do Kiermus trzeba iść spać. Wdrapuję się na poddasze mojej kwatery, zdejmuję buty i nagle czuję wielkie pieczenie stóp. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że przez kilka godzin, od czasu przeprawy przez bagno chodziłem w mokrych adidasach. Zupełnie mi to nie przeszkadzało, teraz dopiero każdy krok powoduje dziwne mrowienie i pieczenie moich przemoczonych stóp...

Jest już tak, że jak człowiek gdzieś wyjeżdża zawsze ma jakieś oczekiwania względem miejsca do którego jedzie. Planuje co by zobaczył, myśli o ludziach których spotka. I ja kiedy wybierałem się nad Biebrzę myślałem o tym kogo chciałbym spotkać, czego doświadczyć. I kiedy już leżałem w maleńkim pokoiku, na poddaszu pod prawdziwą strzechą pomyślałem, że to wszystko spełniło się dzisiaj. Tak sobie właśnie przed wyjazdem wyobrażałem moją przeprawę przez bagna, takich właśnie ludzi jak Dionizy i Krzysiek oczekiwałem nad Biebrzą spotkać...

Lasem do Goniądza, czyli jak ujrzałem Biebrzę po raz pierwszy

To abym pojechał na targ staroci do Kiermus zaproponował Dionizy. Pomyślałem dlaczego nie, w końcu jestem na wakacjach i nigdzie mi się nie spieszy...

Już o 6 rano Dionizy budzi mnie i zaprasza do siebie na śniadanie. Głodny jestem bardzo, a w dodatku wczoraj nie kupiłem sobie jedzenia, bo niby gdzie to miałem zrobić... Najbliższy sklep jest oddalony o jakieś 15 km stąd więc zaproszenie przyjmuję z nieskrywaną ulgą. Na śniadanie są żeberka z ogórkami konserwowymi. Pycha. O 8 jedziemy już z Krzyśkiem jego starym, rozklekotanym polonezem na osławiony targ staroci do Kiermus. On jako stary i znany niegdyś warszawski antykwariusz pewnie jedzie tam ubijać jakieś kolekcjonerskie interesy, a może coś kupować dla siebie... Tego nie wiem, bo dojeżdżam z nimi tylko do Tykocina. Tam idę na niedzielną mszę św. do braciszków bernardynów, po niej odbieram z ich obejścia mojego opla i stamtąd 3 km do Kiermus dojeżdżam już swoim autem. Pomyślałem, że skoro nadarzyła się taka okazja to po targu dojadę do Bud i zostawię samochód tym razem u Krzyśka. Po pierwsze będzie to okazja do ponownego spotkania po wyprawie z Królem Biebrzy, po drugie będę miał do Bud po samochód znacznie bliżej niż do Tykocina. Mamy się spotkać na targu, ale jest tam tyle ludzi, że nie spotykam ani Krzyśka ani Dionizego.

Targ staroci w Kiermusach jest raz w miesiącu, zawsze w pierwszą jego niedzielę i jest największym targiem tego typu na Podlasiu. Przyjeżdżają tam kolekcjonerzy z całej Polski. Piękne antyki, stare przedmioty, ludowe rękodzieło, wyroby z drewna i wikliny, ogólnie można

powiedzieć raj dla zbieraczy, antykwariuszy i tych wszystkich, którzy lubią starocia. Dużo regionalnego jadła: przeróżne chleby domowej roboty, kozie sery, maślane obwarzanki, nadziewane pierogi, miody każdego rodzaju. Ludzi jak wspomniałem wcześniej bardzo dużo. Jest oczywiście także piwo, kiełbaski z grilla, a nawet występy babskiego kabaretu. Jak to na targu, dużo się dzieje... Kręcę się tam między straganami ze dwie godziny, bo jest gdzie łązić i co oglądać i wracam do Bud. Na Krzyśka i Dionizego czekam prawie do 15-ej.

W Budach wszystkie zwierzęta Krzyśka, czyli 18 psów, 3 koty, 4 tarpany, 3 krowy, kura, kogut i gęś chodzą luzem żyjąc ze sobą w absolutnej zgodzie. Latem do tej paczki dołączają jeszcze bociany i widok tych zwierząt i tej przyrody niezwyklej, która otacza Budy jest dla mnie jak magnes. Jest tak ładnie, że w ogóle nie chce mi się stąd wyjeżdżać. Pakuję więc bagaże i odpoczywam na hamaku, cierpliwie czekając aż przyjadą. Wiem już, że z powodu deszczu pierwszego dnia i dzisiejszego wyjazdu do Kiermus złapałem spore opóźnienie i na dotarcie do najdalej wysuniętego na północ punktu Biebrzańskiego Parku Narodowego, czyli do Lipska mam małe szanse. Jest niedziela, a obiecałem mojej kochanej Ani, że w środę na wieczór wrócę do Parczewa. Zostały mi więc tylko trzy pełne dni tej wyprawy, a jeszcze chciałbym pochodzić po Czerwonym Bagnie, dotrzeć na koniec świata, czyli do wsi Jagłowo i w parę innych ciekawych miejsc...

Kiedy przyjechali parkuję mojego opla w obejściu Krzyśka, kupuję w Jego „sklepiku” dwa rzeźbione przez Dionizego aniołki dla Ani i Miłosa, a na pożegnanie zostaję jeszcze obdarowany jedzeniem przez Dionizego. I tak jak wczoraj nie miałem co jeść, tak już dzisiaj dzięki Opatrzności i dobrym ludziom mam go w nadmiarze... Około 16-ej ruszam dalej... Na jazdę rowerem nie mam już dzisiaj za dużo czasu. Ale co tam! Fajnie było zostać dłużej w Budach u Króla Biebrzy, gdzie życie nie spieszne i przyroda przepiękna...

Kilka kilometrów drogi przez gęsty, sosnowy bór i dojeżdżam do kilkudomowej wsi Olszowa Droga. Jak ten teren różni się od wczorajszego! Daleko tu do otwartych przestrzeni bagien, droga biegnie cały czas głębokim i zróżnicowanym lasem. W lesie za Olszową Drogą dojeżdżam do sporego wzniesienia, gdzie między wysokimi drzewami i krzewami leżą ruiny Fortu IV, najpóźniej wzniesionej przez Rosjan, bo w 1891 r. budowli Twierdzy Ossowiec. Po Fortie IV zostały już tylko olbrzymie gruzowiska, ale ich rozmiar wskazuje na imponującą niegdyś budowlę. Trochę dalej znajduje się Fort III, ale dojazd do niego jest niemożliwy z uwagi na to, że jest to teren wojskowy odgradzony od reszty lasu siatką i drutem kolczastym. Przy Fortie III wyjeżdżam z lasu na Carską Szosę, którą jadę aż pod Goniądz, do małej wsi Szafranki. We wsi skręcam w polną drogą biegnącą przez nadbiebrzańskie łąki i dojeżdżam nią do samego miasta.

Goniądz to nieduże, mające 2 tyś. mieszkańców miasteczko o ciekawym układzie architektonicznym opartym na czworobocznym rynku, leżące nad samą Biebrzą, w jej środkowym basenie. Goniądz jest też najlepszym punktem wypadowym na spływ kajakiem nad Dolną Biebrzę, bowiem nie ma w miasteczku żadnego problemu z jego wypożyczeniem. Można to zrobić chociażby w ośrodku wypoczynkowym GOK-u, gdzie zajeżdżam szukać noclegu. Tu, przy tym ośrodku po raz pierwszy widzę Biebrzę. Do tej pory rzeka ta biegła cały czas kilka kilometrów od szlaku którym podążałem, ściśle chroniona przez niedostępne i

dzikie bagienne tereny. Dopiero od Goniądza Biebrza staje się bardziej widoczna, dostępna, ucywilizowana i właśnie taka będzie mi towarzyszyć do samego Sztabina.

Kiedy leżę już w wynajętym nad rzeką domku kempingowym zdaje sobie sprawę, że najpiękniejsza i najbardziej dzika część Biebrzy została za mną, razem z jej dolnym basenem. Z chwilą wjazdu do Goniądza, w jej środkowy basen, moja wyprawa będzie już inna, bardziej cywilizowana i „normalna”. Jak się później okaże potwierdzi się to tylko częściowo... Rzeczywiście dolny basen to przestrzenie i bagna, to najpiękniejsza wizytówka Biebrzy, ale jeśli tylko zechcemy zejść z głównych szlaków i podążać mało uczęszczanymi ścieżkami to także w górnych partiach Biebrzy odnajdziemy takie przestrzenie i przyrodę, tak niezwykłą ciszę i takie miejsca, których doświadczenie na zawsze będziemy pamiętać. Myślę o tym wszystkim, ale też o moich piekących stopach po ich wczorajszym przemoczeniu. Z jazdą rowerem nie ma problemu, gorzej jest z chodzeniem. Każdy krok powoduje niezwykle mrowienie i dziwne swędzenie moich zbolących stóp. Obiecuję więc sobie, że jutro w Goniądzu kupię jakąś maść, która złagodzi te objawy, a które to zbyt przyjemne dla mnie nie były...

Z Goniądza do Sztabina, czyli Biebrza, staroobrzędowcy i Finowie

Dzień zaczynam od znalezienia w Goniądzu apteki, gdzie kupuję ziołową maść na moje piekące stopy. Maść pomaga, bo daje uczucie ulgi, ale działanie ma dosyć krótkotrwałe. To intensywne mrowienie stóp, które towarzyszy mi od dwóch dni po ich przemoczeniu mija tylko na 2-3 godziny i czynność smarowania trzeba powtarzać od nowa. Ale jest już dużo lepiej, każdy krok nie powoduje już tego dziwnego uczucia swędzenia... Przez cztery dni tej wyprawy przejechałem zaledwie 104 km łapiąc dwa dni opóźnienia. Pierwszy dzień wyprawy uciekł mi przez deszcz, a na wczorajszy wyjazd na kiernuski targ sam się zgodziłem. Postanawiam więc skończyć sielankowe tempo i dzisiaj trochę więcej popedałować. Ale na tych terenach planować nie można za wiele. Nie wiadomo jaka droga będzie czekać za zakrętem, czy nie będzie trzeba przypadkiem przedzierać się przez jakieś błota lub rozlewiska albo czy nagle i tak rzadki tu asfalt nie zamieni się w kocie łby po których jazda rowerem będzie już prawdziwym wyczynem...

Z Goniądza jadę polną drogą w stronę Dawidowizny. Mam świetny widok na Biebrzę, płynie ona bowiem w głębokiej dolinie po lewej stronie drogi. Na okolicznych łąkach spotykam pierwsze dzisiaj bociany. To będzie prawdziwy „bociani dzień”, w czasie dalszej drogi do Sztabina zobaczę około setki bocianów. Takiej ilości nie widziałem jeszcze nigdzie. No może raz, będąc kilka lat temu w Poleskim Parku Narodowym...

Dawidowizna to pierwsza ze spotkanych przeze mnie w dniu dzisiejszym bardzo malowniczych, położonych nad samą rzeką nadbiebrzańskich wiosek. Kilka kilometrów dalej dojeżdżam do Wrocenia. Właśnie we Wroceniu na brukowanej ulicówce biegnącej przez wieś spotykam parę turystów z plecakami. Są oni pierwszymi turystami jakich widzę od czasu wjechania w granice Biebrzańskiego Parku Narodowego trzy dni temu. Jadąc tutaj domyślałem się, że tłumów nie będzie, ale że aż tak będę osamotniony, tego nie przewidziałem. W Starym Dolistowie zatrzymuję się na dłużej. To jedna z najstarszych osad w tym regionie, której powstanie datuje się na koniec XV wieku. Na początek jadę pod zabytkowy kościół p.w. św. Wawrzyńca z 1771

roku, a następnie nad rzekę, gdzie obserwuję szykujących się akurat do spływu kajakarzy. Patrzę tak na nich i samemu łapię wielką ochotę wypożyczyć kajak i spłynąć chociaż kilka kilometrów Biebrzą. Odkładam to jednak na później, ale jak się okaże takiej szansy na spływ jak w Dolistowie nie będę już miał. Stary Dolistów żegnam na kabłąkowym moście „do nikąd” przejeżdżając Biebrzę na drugą stronę. Z mostu „do nikąd” wjeżdżam w samo serce Biebrzańskiego Parku Narodowego. Przez 12 km do samego Jagłowa jadę tuż przy Biebrzy szeroką żwirówką, dosłownie kilka metrów od jej brzegu. Droga ta to przede wszystkim sama Biebrza, jej rozlewiska, starorzecza z charakterystycznymi sylwetkami drewnianych łódek i wszechobecna cisza, jedzie więc mi się wyśmienicie. Chociaż w pobliżu jest kilka małych wiosek po drodze nie spotykam żadnych ludzi, tylko pasące się na łąkach krowy i konie zdradzają ich obecność w pobliżu.

Mijam Dębowo ze słynną śluzą na Kanale Augustowskim zamykaną drewnianymi wrotami, uważaną za jedno z największych w skali światowej osiągnięć techniki i architektury wodnej XIX wieku i dojeżdżam do Jagłowa, najbardziej malowniczej, biebrzańskiej wioski, która zachowała charakter dawnych nadbiebrzańskich osad. Pierwsze wzmianki o Jagłowie pochodzą z ok. 1600 roku. I tak przez prawie 400 lat, do lat 60-tych XX wieku, przez większą część roku wieś była niedostępna drogą lądową. Jedynym środkiem komunikacji były tylko łodzie. Bowiem Jagłowo położone jest jakby na wyspie, w widłach dwóch rzek: Biebrzy i Brzozówki. Wokół same rozlewiska, a przez wieś Biebrza płynie tak, że jej wody prawie wylewają się pod budynki. Ten to właśnie obraz charakterystycznej, drewnianej zabudowy wsi i płynącej u stóp budynków rzeki możemy zobaczyć na prawie każdej pocztówce z Biebrzy. Unikalne położenie Jagłowa najbardziej widoczne jest od strony rzeki, dlatego do wioski najlepiej przepłynąć łodzią lub kajakiem. Z drogi widok nie jest tak dokładny.

Dojeżdżam żwirówką na sam koniec wsi, który można także śmiało nazwać „końcem świata”, boiwni kończy się tu droga i zaczynają się już tylko wielokilometrowe rozległe przestrzenie torfowiskowe zwane Bielami Suchowolskimi. Ładnie to brzmi „rozległe przestrzenie torfowiskowe”, ale gdybym napisał, że nie ma tu zupełnie nic także trafnie oddałbym to co zobaczyłem za Jagłowem. Tylko mapa mówi mi, że gdzieś, kilka kilometrów za tymi podmokłymi torfowiskami leży kolejna nadbiebrzańska wioska - Rutkowszczyzna, do której właśnie planuję się teraz dostać. Raczej planowałem, bo tutaj, na tym „końcu świata” za Jagłowem napotykam pierwszy problem. Otóż główny biebrzański szlak, którym dotąd się poruszałem urywa się w tym miejscu. Zamiast oznaczonej ścieżki widzę tylko otwartą torfowiskową przestrzeń. Dziwię się, bo do tej pory szlak ten, biegnący przez sam środek Biebrzańskiego Parku Narodowego był dobrze oznaczony i nie miałem większego problemu w poruszaniu się jego drogami. Mając w pamięci przeprawę sprzed kilku dni bagnami z Gugien do Barwika zdaję sobie sprawę, że mam dzisiaj za mało czasu (jest już po 15-ej) na przejście do Rutkowszczyzny nie oznakowaną, ledwie widoczną ścieżką przez błotniste torfowiska Biel Suchowolskich. Nie lubię się zawracać, ale rozsądek podpowiada mi, że tak będzie lepiej. Kiedy wjeżdżałem do Jagłowa, na mój widok kilku mężczyzn remontujących dach drewnianej kaplicy stojącej we wsi zaczęło wymieniać między sobą swoje uwagi. Usłyszałem taką mniej więcej rozmowę: „- Patrzcie, znowu jakiś turysta. - Po co on tam jedzie, przecież tam już nic nie ma. - Czekaście, zaraz będzie wracał.” Mieli rację. Teraz z wielką satysfakcją i uśmiechem patrzę na

mnie kiedy opuszczam Jagłowo wracając tą samą drogą, którą przyjechałem. Innej zresztą nie było...

Jak to mówią „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Coś za coś. Zmieniam plany dotarcia do Rutkowszczyzny i kieruję się 20 km na północ do wsi Gabowe Grądy zamieszkaanej w całości przez staroobrzędowców. Oprócz podsuwalskich Wodзилek, gdzie byłem kilka lat temu to jedyna taka wieś w Polsce. Droga do Gabowych Grądów wylana jest równiutkim asfaltem, mogę nareszcie przyspieszyć. W końcu nie ma błota, piachu, żwiru, dołów... Kilkukilometrowy odcinek tej drogi biegnie nawet wśród wyglądającego jak tunel szpaleru wysokich sosen rosnących po obu stronach drogi, jedzie mi się więc tą drogą po prostu wyśmienicie. Co za zmiana!

Gabowe Grądy jak już wspomniałem to wieś zamieszkaana w całości przez Staroobrzędowców (inaczej Starowierców), zamkniętą wspólnotę religijną, która odłączyła się od prawostawia zreformowanego w XVII wieku zachowując wierność dawnym tradycjom. Niedługo potem zostali poddani okrutnym prześladowaniom przez władze carskie i cerkiewne. Uciekając przed represjami emigrowali na krańce carskiego imperium. W Gabowych Grądach osiedlili się tuż po powstaniu styczniowym. Gabowe Grądy uznawane jest za najprężniej działające i najbardziej tradycyjne miejsce życia staroobrzędowców w Polsce. Mieści się tutaj molenna, cmentarz oraz szkoła podstawowa, w której wciąż naucza się po rosyjsku. Chociaż wiele się zmieniło, a niezwykle surowe zasady wiary (zakaz palenia tytoniu, picia alkoholu, służenia w wojsku, a nawet golenia bród przez mężczyzn) są kultywowane tylko przez osoby starsze to staroobrzędowcy wciąż zachowują swoją tradycję, język i wiele dawnych zwyczajów. Jeśli nawet nie wszystkie dawne obyczaje są obecnie zachowywane to wciąż ściśle przestrzega się zakazu picia alkoholu i palenia tytoniu w pomieszczeniach, gdzie są ikony. Wielką świętością darzą oni także molenny, czyli świątynie w których zbierają się na nabożeństwa i dlatego niechętnie otwierane są one innowiercom i turystom. Nie ma we wspólnocie staroobrzędowców także żadnej hierarchii kościelnej i nie uznają oni żadnych innych sakramentów niż chrzest. Kolejnym dawnym obyczajem, który wciąż jest praktykowany są kąpiele w łaźni parowej, z rosyjskiego zwanej banią. Bania to zazwyczaj niepozorny, najczęściej drewniany budynek z piecem kamiennym w środku i ławkami usytuowanymi na różnych wysokościach do siedzenia lub leżenia. Obyczaj nakazuje staroobrzędowcom kąpać się w bani co najmniej raz w tygodniu przed pójściem na nabożeństwo do molenny. Kiedyś surowe zasady zakazywały wspólnej kąpieli z innowiercami i niewierzącymi. Obecnie pomimo tego, że wciąż najchętniej korzysta się z bani w gronie rodzinnym to bardzo chętnie (szczególnie w Wodзилkach) udostępniane są one tym wszystkim, którzy chcą przeżyć niezapomnianą i z niczym nieporównywalną w niej kąpiel. W Gabowych Grądach nie ma turystów, tak jak w Wodзилkach. Tutaj w bani rozpala się przeważnie tylko w soboty przed nabożeństwem i kąpie w gronie rodzinnym. Tego akurat nie wiem i jadąc przez Gabowe Grądy bezskutecznie wypatruję bani (jest właśnie poniedziałek), z której buchała by gorąca para. W każdym obejściu stoi co prawda drewniana łaźnia, ale piece w nich są powygazane. Przejeżdżam przez całą wieś gdy w końcu docieram na skraj lasu, gdzie w otoczeniu wysokich sosen stoi drewniana, prosta molenna służąca wiernym z Gabowych Grądów. Molenna jest zamknięta, nie udaje więc mi się po raz kolejny (jak byłem w Wodзилkach było podobnie) zobaczyć jak wygląda wnętrze i wystrój świątyni staroobrzędowców. Chcę dać sobie już spokój z kąpielą w bani i jechać dalej do Sztabina, gdy dowiaduję się od przypadkowo

spotkanego mężczyzny, że widział, wracając niedawno z pracy jedną, rozpaloną łaźnię w drugiej części wsi. Jadę więc tam gdzie mi wskazał...

Mam szczęście. Do właścicieli rozpalonej bani przyjechała córka z zięciem z Niemiec i dla nich rozgrzano dzisiaj piec kamienny w łaźni. Teraz właśnie biorą kąpiel mężczyźni zostają więc zaproszony przez gospodarza do środka. Zgodnie z panującym zwyczajem w przedsiönku rozbieram się do naga (w bani kąpiel bierze się tak jak Pan Bóg człowieka stworzył) i wchodzę do rozgrzanego pomieszczenia. Na początku doznaje się szoku. Temperatura jest tak duża, że ma się uczucie braku powietrza. Stopniowo organizm przyzwyczaja się, ale i tak co kilka minut ochładzamy się wychodząc do otwartego na zewnątrz przedsiönka. W zimie odbywa się to w ten sposób, że wybiega się na zewnątrz i tarza w śniegu... Siedzimy w rozgrzanej bani w czwórce. Gospodarz, jego syn, zięć i ja. Kąpiel trwa prawie godzinę podczas której jesteśmy co pewien czas, po kolei, poddawani przez gospodarza specjalnemu rytuałowi. Polega on na położeniu się na najwyższej, usytuowanej prawie półtora metra nad podłogą ławce. Tam termometr wskazuje 70°C. Gospodarz staje nad leżącym i smaga go po całym ciele brzołowymi witkami. Efekt obezwładniający! Smagane witkami miejsce, i tak już wystarczająco gorące od temperatury rozgrzewa się z każdym uderzeniem jeszcze bardziej. Kolejnym rytuałem jest zakładanie na głowę specjalnej czapki z wielbłądziej skóry przed wejściem na wyższą ławkę. Logika temu zaprzeczała. Po co, myślę? Przecież jest tu tak gorąco, że w tej grubej czapce to się już na pewno zagotuję. Otóż jest zupełnie przeciwnie. W czapce z wielbłądziej skóry nie czuć tak fali uderzenia ciepła. Jest nadal gorąco, ale ciało nie doznaje już takiego szoku, kiedy wchodzi się na ławkę z 70-ciom stopniami ciepła. Dziwne, ale sam to sprawdziłem. Na najwyższą ławkę wchodzę dwa razy. Dla własnego bezpieczeństwa nie na długo... Zdecydowanie wolę siedzieć nisko, gdzie temperatura nie jest tak wysoka i gdzie można ochładzać się polewając zimną wodą. To moja druga kąpiel w bani i tak jak za pierwszym razem jest to przeżycie niesamowite.

Po tych atrakcjach wsiadam na rower i polną drogą przez gęsty las docieram do Żmojdak, małej, wyludnionej nadbiebrzańskiej wioski. Droga od Żmojdak to słynne kocie łby, którymi jadę aż pod Sztabin. Trzęsie mną niemiłosiernie.

W Sztabinie jestem po 20-ej. To nieduża osada leżąca na prawym brzegu Biebrzy. Od razu rzuca się w oczy trójkątny rynek i wielki, neogotycki kościół parafialny św. Jakuba. W poszukiwaniu noclegu trafiam do państwa Siebiedzińskich świadczących rozmaite usługi dla turystów. Między innymi posiadają oni doskonale urządzone pole namiotowe usytuowane nad samą Biebrzą, położone kilka kilometrów za Sztabinem na zupełnym odludziu. Nie ma tam nawet potrzeby rozbijania namiotu, gdyż właściciel pola postawił na nim ponad 10 drewnianych szałasów, w których można przespąć się za 8 zł. Przestronne, wyłożone dywanową wykładziną, kryte strzechą i folią więc nieprzemakalne, na pewno cieplejsze i wygodniejsze od nawet najbardziej komfortowego namiotu. Oprócz szałasów jest tam także bania wzorowana na tej, którą mają staroobrzędowcy, prysznic pod gołym niebem, miejsce na ognisko, zadaszona wiata słowem wszystko co powinno mieć dobre pole namiotowe. Istnieje także możliwość wypożyczenia kajaków i rowerów jakby ktoś sobie tego życzył...

Oprócz mnie nocuje tu tylko para z Finlandii. Tuulia i Yura wybrali się samochodem z Helsinek na wakacyjny objazd po Europie. Spory problem w dogadaniu się stanowi język, a raczej mój

słabiutki angielski. Jakoś sobie radzimy, ale są sytuacje, kiedy nie rozumiemy się zupełnie. Rozmowa idzie ciężko dopóki nie ma piwa. Znaczący Yura uzupełnia płynny cały czas, ale ja nie mam nic, a nie chcę zbyt wykorzystywać turystów z zagranicy. Jadę więc do Sztabina po napoje chłodzące dla siebie i coś na kolację. Rozpalamy ognisko. Popijając zimne piwo i jedząc pieczone na ognisku skrzydełka kurczaka, które przyrządza Tuulia (z tym jedzeniem mam niezłego farta, gdyby nie żeberka Dionizego i kurczak Finów nie jadłbym nic ciepłego przez całą wyprawę) gadamy do samej północy. Tuulia z Yurą uczą się ode mnie polskich słów, ja to samo muszę powtarzać po fińsku. Jest przy tym dużo niezłej zabawy. W trakcie ogniska Tuulia przyznaje mi się, że na codzień jest artystką i maluje obrazy (które można zobaczyć na [jej stronie internetowej](#) i w wielu fińskich galeriach...).

Dzisiaj przejechałem 74 km i dojechałem do Sztabina, najdalej wysuniętego na północ punktu mojej wyprawy. Od jutra zjeżdżam już na dół i wracam powoli do Bud, gdzie zostawiłem samochód. Dzisiejszy dzień był bardzo intensywny i obfitował nareszcie w spotkania towarzyskie. Tego było mi potrzeba, bo z samotności zaczynałem już sam do siebie gadać...

Czerwone Bagno, czyli przyrody biebrzańskiej szłał

Droga ze Sztabina do Kopytkowa jest jakby stworzona do jazdy rowerem. Tylko bociany, piękna przyroda i cisza. Zupełny brak samochodowego ruchu. Uwielbiam takie drogi! Kopytkowo położone jest tak jak Jagłowo, gdzieś na końcu świata, w samym sercu Biebrzańskiego Parku Narodowego. Kiedy przyjeżdżam do Kopytkowa świeci piękne słońce i ta mała wioska i położone na jej skraju nadbiebrzańskie bagna wyglądają tak, że „usta milczą dusza śpiewa"! Kopytkowo leży z dala od przejazdowych dróg (jeśli w ogóle coś przejazdowymi drogami nad Biebrzą można nazwać) i za wioską są już tylko bagna. I tymi bagnami zamierzam przedostać się nad Czerwone Bagno, a dalej do Leśniczówki Grzędy, gdzie zaplanowałem dzisiaj przenocować. Na zamierzeniach się jednak kończy, bowiem tylko na mapie wygląda to dosyć prosto: kilka kilometrów piechotą szlakiem przez bagna i powinienem dotrzeć do celu. W rzeczywistości takie proste to nie jest. Kiedy mijam Kopytkowo i stoję na skraju Sznurów Nadbiebrzańskich, rozległego terenu bagiennego to po raz drugi w czasie tej wyprawy muszę zrezygnować z przeprawy przez bagna. Powód? Podmokłe, rozległe łąki po lewej i zarośnięte wysoką trzciną pola po prawej. Inic poza tym, żadnej dróżki, ścieżki, szlaku. I idź sobie człowieku... Przez chwilę myślę nawet o tym, aby iść „na czuja”, ale po chwili głębszego zastanowienia stwierdzam ostatecznie, że nie ma sensu, że nie mam na takie przygody po prostu czasu (dzisiejszy dzień jest ostatnim dniem mojej wyprawy, jutro wracam już do domu. Z bólem serca (bardzo nie lubię się wracać!) wybieram okrężną drogę nad Czerwone Bagno przez służę Sosnowo i okolice jeziora Tajno, pięciokrotnie dłuższą co prawda niż przez te bagna, ale za to biegnącą asfaltem i delikatną szutrówką po pięknym krajobrazowo terenie.

Na tej drodze nie ma praktycznie ruchu. Jeśli jeszcze do tego dodam idealną pogodę - świeci słońce, ale nie jest za gorąco - to czego mogę więcej chcieć? W takich warunkach można kręcić godzinami nie czując zmęczenia... Nie zatrzymuję się nigdzie na dłużej, bo nie mam już i tak za wiele dzisiaj czasu na wyprawę w głąb Czerwonego Bagna. Mijam wieś Tajenko i dojeżdżam nad leżące za wsią śliczne Jezioro Tajno. Jezioro jest dzikie, ale nie zarośnięte, otoczone tylko

polami uprawnymi i porośniętymi koniczyną łąkami na których beztrąsko pasą się krowy. Przez kilka kilometrów droga biegnie tuż przy jeziorze i dochodzi do wsi Orzechówka i Leśniczówki Łosiowy Kąt. Są to dwa najdalej wysunięte na północ miejsca rozległych przestrzeni Czerwonego Bagna. Od leśniczówki w dół aż do samych Grząd ciągną się wielokilometrowe, niedostępne, bagienne tereny. Całe Czerwone Bagno ma prawie 12 tysięcy hektarów (!), z czego tylko niewielka jego część jest przystosowana dla turystyki. Dlatego na jego obszar wjeżdżam od strony południowo-zachodniej, bo tylko w tej części jest ono „ucywilizowane” i w miarę dostępne.

Jest grubo po 16-tej kiedy dojeżdżam do malowniczej polany otoczonej lasem, na której stoi drewniana zabudowa Leśniczówki Grzędy. Kiedy w leśniczówce kupuję bilet wstępu na szlaki wewnątrz rezerwatu ścisłego dostaję dobrą radę abym za daleko się już dzisiaj nie wypuszczał. Pomimo dobrych rad postanawiam jednak wyruszyć w głąb Czerwonego Bagna. Jutro nie będzie zresztą kiedy, bo czeka mnie ponad 60 kilometrowy powrót do Bud po samochód, a stamtąd 250 km do domu. Niedaleko leśniczówki znajduje się pole namiotowe, na którym rozbijam się na dzisiejszą noc. Pole wyposażone jest we wszystko co potrzebne na biwaku. Jest zadana wiata, hydrant z wodą, toalety i miejsce na ognisko. Wszystkie bagaże zostawiam w namiocie, zabieram tylko statyw i aparat fotograficzny. Tak odciążony wjeżdżam po 17-tej na spotkanie z najbardziej atrakcyjnym przyrodniczo miejscem w Biebrzańskim Parku Narodowym. Pierwszy, krótki przystanek robię sobie po dwóch kilometrach, przy Ośrodku Rehabilitacji Zwierząt. Umożliwia on opiekę nad rannymi, chorymi bądź osieroconymi zwierzętami w warunkach dla nich naturalnych. Po okresie rekonwalescencji wypuszczane są na wolność. Ośrodek znajduje się przy drodze, mogę więc z bliska pooglądać zwierzęta. Za ośrodkiem wjeżdżam w gęsty las, który zaprowadzi mnie do najbardziej dzikiego miejsca w Biebrzańskim Parku Narodowym, uroczyska „Piekielne Wrota”. Ale po kolei...

Po kilku kilometrach dojeżdżam do Solistowskiej Góry, jednej z najładniejszych wydm w całym rezerwacie, malowniczo położonej pośród lasów. Ze wzgórzem tym związana jest tragiczna i krótka historia wsi Grzędy. W XIX wieku carskie władze osadziły tu skazanych na zesłanie po powstaniu styczniowym. Zasiedlone grądy bagienne utworzyły rozległą wieś - Grzędy. Unikalna to była wieś, dzieliła się bowiem jakby na kilka dzielnic, których mieszkańcy byli oddaleni od siebie nieraz o kilka kilometrów z utrudnionym przejściem przez mokradła. Życie na „polskim Sybirze”, jak nazywano tę wieś pośród bagien i piasków nie było łatwe. Niewiele było ziemi ornej, więc jej mieszkańcy żyli z czego się tylko dało. Zajmowali się rybołówstwem, pszczelarstwem, zbieractwem, transportem drzewa. Historia „piaskowej wsi” Grzędy zakończyła się w czasie II wojny światowej i do dnia dzisiejszego nie odżyła. W sierpniu 1943 roku komando hitlerowskie za współpracę mieszkańców z partyzantami zrównało z ziemią całą wieś. Ludzi, którym nie udało się uciec rozstrzelano i pochowano w zbiorowej mogile właśnie na Solistowskiej Górze. Tutaj kończy się jazda rowerem. Szlak prowadzi teraz przez otwarte trzcinowiska, którymi przedzieram się do kolejnego wzgórza Działu Kumkowskiego. Stąd ścieżką przez bagna, biegnącą w kształcie łuku docieram nad uroczysko Piekielne Wrota, najbardziej dzikie i niedostępne miejsce całego Biebrzańskiego Parku Narodowego. Znowu otwarte, surowe, „prawdziwe” bagno... Nieprzebyte przestrzenie Piekielnych Wrót ciągną się dalej kilometrami. Żadnych wsi i osad ludzkich. Ja wędruję tylko ich skrajem trzymając się oznaczonego szlaku. Przejście tymi zarośniętymi mokradłami jest ostatnią bagienną przeprawą

na mojej wyprawie. Dalej szlakami Czerwonego Bagna podążam już tylko przez lasy i piaszczyste wydmy.

Co takiego jest na tych bagnach biebrzańskich, że mnie tak do nich ciągnie? Żeby chociaż były ładne krajobrazowo, to może bym zrozumiał moją słabość. Ale na tych bagnach są tylko puste, przeważnie porośnięte trzcinami, podmokłe, płaskie przestrzenie i nic poza tym; A jednak mają coś w sobie! Nie wiem, może sprawia to ta cisza, a może przyroda, która żyje tutaj własnym, nie dyktowanym przez człowieka rytmem, ale bagna biebrzańskie to miejsca, w których nasza samotna obecność nie zostawia nas już takimi samymi jak byliśmy.

Wjeżdżam w zróżnicowany, gęsty las, który prowadzi mnie do kolejnej malowniczej wydmy leżącej na wzgórzu zwanym Działem Grabowskiego. Leśna ścieżka jest w miarę ubita, więc poza paroma jej fragmentami pokonuję ją rowerem (co prawda na szlakach rezerwatu obowiązuje zakaz jazdy rowerem, ale słońce jest coraz niżej, mam więc nadzieję, że zostanie mi to wybaczone). W połowie drogi na Dział Grabowskiego, wśród leśnej gęstwiny mam spotkanie o którym marzyłem od początku tej wyprawy. Trwa krótko, ale jest niezwykle bo niespodziewane. Zza drzew wyskakuje łoś, ale znika tak szybko jak się pojawia w leśnych chaszczach. Nie zdążam nawet wyciągnąć aparatu... To jest jedyny minus jazdy rowerem po lesie, nie sprzyja ona zbytnej dyskrecji i płoszy szybciej zwierzynę niż wędrówka piesza. Podobnie z szybkością robienia zdjęć. Coś za coś niestety! Ten spotkany przeze mnie łoś jest jak dotąd jedyną żywą istotą (nie biorę pod uwagę licznego ptactwa i owadów), którą spotkałem od wyjazdu z leśniczówki na szlaki rezerwatu. Kilometr później spotykam drugą - samotnego wędrowca z lornetką. Kiedy próbuję nawiązać z nim rozmowę pytając o drogę, słyszę odpowiedź w języku angielskim. Okazuje się, że to obcokrajowiec. Oprócz niego przez ponad 3 godziny mojej wólczygi po szlakach Czerwonego Bagna nie spotykam tam nikogo. I tak jest od początku mojego wjazdu w granice Biebrzańskiego Parku Narodowego. Turystów jak na lekarstwo. Ale to chyba dobrze, bo myślę sobie, że to akurat właśnie sprawia, że wyprawa ta jest zupełnie wyjątkowa.

Wydma na wzgórzu zwanym Dział Grabowskiego jest naprawdę ładna. To malownicza polana porośnięta uroczymi, czerwonawymi kępami dzikiej trawy, skąpanymi teraz w będącym nisko na horyzoncie słońcu. Na odcinku do uroczyska Dęby, leśnej polany z grupą starych, ponad dwustuletnich dębów łapię niezłego „powera”, a to za sprawą urozmaiconego, pagórkowatego w tym miejscu terenu, wąską ścieżką przecinającego gęsty w tym miejscu las. Najpierw żwirówką, potem drewnianą kładką przez ols i mokradła, a na końcu kilometrową wydumą docieram na piaszczystą górę, ciągnącą się wzdłuż bagien. To Wilcza Góra, kiedyś jedna z „dzielnic” wsi Grzędy. Na jej szczycie mieści się obecnie wieża widokowa, na którą wchodzę aby podziwiać rozległe przestrzenie Czerwonego Bagna. Jest to też doskonałe miejsce obserwacji przyrodniczych. Z wieży prawie zawsze można wypatrzeć łośia, czasem nawet całe ich stado. Żałuję tylko, że docieram tutaj tak późno. Jest już po 20-ej, nadciąga zmierzch i wszystko robię w pośpiechu. Bardziej „zaliczam” Wilczą Górę niż naprawdę oglądam to wszystko co na niej i wokół niej się znajduje i co spotkać można.

Czerwone Bagno to wielka różnorodność. Można wędrować godzinami przez las przypominający bór, aby zaraz las się skończył i wejść na otwarte bagienne przestrzenie. Jeszcze jak do tego dodamy ciągnące się pasmami wydmy, będziemy mieli naprawdę

różnorodną i bogatą we wrażenia wycieczkę. Przy odrobinie szczęścia możemy także spotkać tutaj żerujące łosie, wilki czy szybującego na niebie orlika... Takie właśnie jest Czerwone Bagno, „przyrodniczo biebrzański szał”, bo jest tu rzeczywiście wszystko czego przyrodnicza dusza zapagnie.

Z Wilczej Góry na pole namiotowe wracam najkrótszą drogą, ładną, leśną żwirówką. W lesie jest już prawie zupełnie ciemno, a ja nie mam oświetlenia. Mimo tego ten 7 kilometrowy odcinek pokonuję dosyć szybko. Kiedy dojeżdżam trzech młodzieńców w namiocie obok szykuje się już do snu. I ja mam iść spać? Nie tak sobie wyobrażałem ostatni wieczór tej wyprawy. Biorę więc rower, latarkę i jadę 4 km przez leśną ciemność do zagrody „Kuwały” niedaleko Woźnejwi aby napić się zimnego piwa. Piję tylko jedno. Po pierwsze jest drogie jak cholera, po drugie klimat nie sprzyjający (zagroda jest zrobiona pod ludzi interesu, m. in. słyszę fragment rozmowy dwóch turystek komentujących cennik noclegów „popatrz - 130 zł za nocleg, niedrogo, prawda?”. Zdecydowanie nie pasuję do tego towarzystwa...), a po trzecie jak się jedzie rowerem nie można więcej (choćby gdyby było tańsze to kto, bo pić mi się chciało bardzo, a w dodatku to ostatni był wieczór na biebrzańskiej ziemi...). Kiedy wracam wszyscy śpią. Jest cicho jak to w lesie... Na niebie świeci przecudny księżyc, wyciągam więc statyw i cykam mu zdjęcie. Ładnie uśmiechał się do mnie...

Meta, czyli droga do domu

Chłopaki z sąsiedniego namiotu budzą mnie już o 4 rano. Zdecydowanie za głośno wybierają się o tak wczesnej porze, najpewniej wyruszając tak rano tropić leśną zwierzynę. Kiedy już sobie poszli i zapanowała cisza zasypiam znowu. Wstaję o 7 radosny i podniecony, bo dzisiaj jest dzień powrotu i cieszę się już ze spotkania z Anią i Miłkiem.

Zostawiam bagaże na polu namiotowym i bez ekwipunku jadę na jeszcze jeden szlak Czerwonego Bagna. Za Ośrodkiem Rehabilitacji Zwierząt wjeżdżam w gęsty las i prawie 3 kilometrową ścieżką dojeżdżam na sam środek Czerwonego Bagna, jednego z najcenniejszych przyrodniczo terenów w Polsce. Ścieżka w wielu miejscach jest poryta, są to wyraźne ślady bytowania króla bagien - łosia. Dojeżdżam na sam koniec ścieżki, skąd roztacza się panorama porośniętego gęsto trzcinowiskami, dzikimi krzakami i brzezina Czerwonego Bagna. Miejsce to jest największą ostoją łosia w Polsce. Te zarośnięte, podmokłe mokradła to wprost wymarzone miejsce do życia dla tych zwierząt. Ze ścieżki wjeżdżam na wąską, drewnianą kładkę, która prowadzi mnie przez bór bagienny z typową roślinnością torfowiskową. Ta kładka jak i obszar wokół niej bardzo przypominają mi takie jedno miejsce w Poleskim Parku Narodowym, bardzo mi bliskim (od Parczewa do jego granic mam zaledwie 30 km), w którym bywałem wielokrotnie. Od Poleskiego Parku zaczęła się zresztą moja fascynacja bagnami. Pierwszy raz też tam byłem sam, ale to zupełnie inna historia...

Do Rudy dojeżdżam przez te ciche, leżące z dala od głównych, przejazdowych dróg wioski: Kuligi, Kozłówkę, Stoczek, Pieńczykówkę, Sołki, Modzelówkę. Zupełny brak ruchu samochodowego. I bociany rzecz jasna, mnóstwo bocianów... I ci swojscy ludzie, śpieszący ze szczerą pomocą, kiedy tylko o coś zapytasz lub poprosisz... Po drodze jest jeden sklep, ale akurat zamknięty. Na mój widok jednak młoda córka właścicieli otwiera go specjalnie dla mnie.

Kiedy pytam ją o chleb lub bułkę jest zdziwiona. Ja też się dziwię, że ona tak się dziwi bo jest to sklep spożywczy przecież. Ale kiedy bliżej przyglądam się asortymentowi przestaję się dziwić. Oprócz piwa i innych trunków nie ma w nim praktycznie nic. Za Stoczkim kończy się wąski asfalt, którym jedzie mi się lekko i szybko. Zaczyna się żwirówka. Teraz już tak lekko nie jest. Teren zupełnie bezleśny, tylko łąki i pola i słoneczny żar z nieba, który doskwiera mi coraz bardziej. Na żwirówce prędkość spada i wlokę się jak żółw. Za wsią Sołki robię sobie przerwę obiadową. Jem chleb z mieloną popijając pomarańczowym napojem. Przeszkadzają mi tylko te natrętne osy, które bezczelnie łążą mi po kanapkach. Przed Modzelówką na niebie pojawiają się granatowe chmury zakrywając słońce. Kiedy mijam Modzelówkę błyska już i grzmi. Nie ryzykuję dalszej jazdy i za pozwoleniem miłej właścicielki chowam się pod zadaszony taras ostatniego domu we wsi. Przez pół godziny jak tam stoję cały czas grzmi, nawet zaczyna kropić, ale „ani w to ani we wto” jak to mówią. Czas oczekiwania na to czy „bedzie padać czy przejdzie bokiem” spędzam na pogaduszkach z rozmowną gospodynią. Ona jest święcie przekonana, że „przejdzie bokiem”, ale ja jakoś tego pewien nie jestem. Opowiada mi ciekawą historię o turystach, którzy trafili do niej tydzień przede mną. Tutaj skończył się ich rejs... Otóż kilku panów w średnim wieku poczuło zew wolności, zostawili swoje żony, wynajęli tratwę i zaczęli spływać rzeką Ełk prażąc się na słońcu, dodatkowo popijając gorzałkę. Spływali tak prawie tydzień tracąc przez trunek zupełny kontakt z rzeczywistością i własnymi ciałami. Kiedy przyплыnęli w końcu do Modzelówki okazało się, że część załogi ma już poważne oparzenia. Dzięki jej namowom zdecydowali się na przerwanie rejsu i wyjazd do lekarza. Jak lekarz zobaczył ich stan, skierował natychmiast do szpitala i tak zakończyła się ich „morska” przygoda. Ile można czekać? Ani w przód, ani w tył. Grzmi, błyska, coś tam kapie, ale dalej nic nie wiadomo... Żegnam więc panią gospodynię, która powtarza wciąż, że „przejdzie bokiem” i ruszam w stronę Rudy. Za Modzelówką zaczynają się kocie łby, a wokół nich puste, szczere pola. Nie robię tym brukiem więcej niż pół kilometra jak pierdyknie taki deszcz, że historia... Urwanie chmury... Świetnie, znowu jestem cały mokry. I tak jak zaczynałem moją wyprawę moknąc do suchej nitki na pierwszych jej kilometrach tak moknę i teraz, w jej dzień ostatni, mając do mety trochę ponad 30 km. Co mam robić? I tak jestem już przemoczony do samych majtek, a cofać się do Modzelówki nie będę, bo i po co? Nakładam więc kurtkę aby nie było mi zimno i ruszam w ten deszcz...

Za Rudą wjeżdżam na ruchliwą, krajową 65-tkę, trasę od drogowego przejścia granicznego z Rosją do Białystoku. W strugach deszczu jadę mijany przez dziesiątki tirów. Trzymam się jak tylko mogę pobocza, ale ono znowu jest strasznie dziurawe. Prawdę mówiąc jadę z duszą na ramieniu, wystraszony trochę przez rozmówczynię z Modzelówki, która opowiadała mi o licznych wypadkach na tej trasie, a także przez przydrożne krzyże, które potwierdzały, że mówiła prawdę i bynajmniej nie przesadzała... A ulewa jeszcze większa... Cóż, byle dotrzeć do Carskiej Szosy, tam będzie już spokojnie... Po 15 km, przed Osowcem przestaje padać. Rano jeszcze myślałem o tym, aby tu się zatrzymać i obejrzeć Twierdzę Osowiec, słynny system fortyfikacyjny wojsk carskich. Jednak teraz zmęczenie i wychłodzenie spowodowane przemoknięciem do suchej nitki bierze górę nad chęcią zwiedzania betonowych bunkrów...

Na Carską Drogę zawsze można liczyć. Przez 15 km jej odcinek do Bud mija mnie tylko jeden samochód. Deszcz jednak dał mi się mocno we znaki. Jedzie mi się ciężko, te 15 km pokonuję w godzinę. Jestem wyraźnie zmęczony... O 14:30 dojeżdżam do znaku „Budy w prawo 1,4 km”.

Polna, piaszczysta droga prowadzi przez piękny las, ale jechać nią rowerem nie sposób. Ciężko się nawet idzie, bo stopy zapadają się w głębokim piasku, a rowerem? Nie ma mowy. No chyba, żebym miał monstrualne opony Endomorph 26 x 4,0 cale, jakie miał Jakub Postrzygacz pokonujący samotnie na rowerze w 2005 roku Canning Stock Route, szlak wiodący po bezludnych, pustynnych obszarach Australii Zachodniej. Opony o szerokości 4 cali, wyobrażacie sobie?

W Budach Król Biebrzy przedstawia mnie odwiedzającej go właśnie autokarowej wycieczce (daję 90 procent szans na to, że są to studenci biologii) jako, tu cytuję „kolegę, który objechał na rowerze cały Biebrzański Park Narodowy”. Robi mi się bardzo miło, nie powiem... Myję się w zimnej wodzie (tylko taka w Budach jest), pod studnią, pakuję moją Favoritkę Sport rocznik 98 i bagaże do corsy i wyruszam ku domowi z sercem pełnym wrażeń, wyciszony tygodniem samotności. W domu czeka na mnie cała rodzina. Radość jakbyśmy nie widzieli się ze sto lat. Jestem szczęściarzem - myślę. Fajnie jest wracać będąc tak oczekiwanym...

Przejechałem na rowerze 300 km. To niedużo jak na siedmiodniową wyprawę. Ale nie o ilość przecież chodzi, a jakość... A człowiek czym starszy tym robi się mądrzejszy i mniej zachłanny. Wyrosłem już dawno z bicia rekordów. Dlatego teraz moje wyprawy nie są już sportowymi wyzwaniem jak bywało kiedyś. Jeśli przejadę w ciągu dnia 20 km jest OK, jeśli uda mi się zrobić 100 to super. Czytam wiele relacji ludzi podróżujących na rowerach i większość z nich traci to co najważniejsze w takiej wyprawie. Nie mają czasu żeby cieszyć się jakimś miejscem, „poczuć klimat”... ilość kilometrów i zaplanowana trasa stają się celem samym w sobie. Ale w taki sposób przecież równie dobrze można jeździć wzdłuż A2 tam i z powrotem...

Pozdrawiam wszystkich którzy dotarli do tego miejsca w mojej relacji, szczerze gratuluję wytrwałości i zapraszam do pisania do mnie na kontakt@podrozerowerowe.pl

